

Frajer pilnie poszukiwany

6 czerwca 2024

Izba Reprezentantów Kongresu przyznała Ukrainie 61 mld dolarów na kontynuowanie wojny, której celem – jak to ujawnił w swoim czasie sekretarz obrony USA Lloyd Austin – jest „osłabienie Rosji”. Do tej pory, tj. od lutego 2022 roku, kiedy to – po wysłuchaniu zachęty amerykańskiego prezydenta Józia Bidena – ukraiński prezydent Włodzimierz Zełeński podjął decyzję o odrzuceniu porozumień mińskich, co stało się pretekstem do rosyjskiego uderzenia na Ukrainę, Stany Zjednoczone przekazały Ukrainie pomoc wartości co najmniej 45 mld dolarów.

Oznacza to, że każdego dnia Stany Zjednoczone wydawały w tym okresie na wojnę na Ukrainie ok. 57 mln dolarów.

To oczywiście sporo – ale w porównaniu do 300 mln dolarów dziennie, jakie Stany Zjednoczone wydawały na operację pokojową i misję stabilizacyjną w Iraku i Afganistanie, w których uczestniczyli amerykańscy żołnierze, używający amerykańskiej broni, amerykańskiego sprzętu i amerykańskiej amunicji, za którą przecież żadne inne państwo Stanom Zjednoczonym nie płaciło, wojna na Ukrainie wygląda na niemal sześciokrotnie tańszą, nawet jeśli nie uwzględnić zysków rządu USA z tytułu podatków płaconych przez amerykański przemysł zbrojeniowy, który broń, sprzęt i amunicję dla Ukrainy musi przecież wyprodukować, a od uzyskanych w ten sposób dochodów musi przecież zapłacić rządowi podatki.

Do tego dochodzą korzyści polityczne, wynikające stąd, że amerykańscy żołnierze nie walczą ani nie giną, ani nie odnoszą na Ukrainie ran, co też przekłada się na dodatkowe oszczędności, które w tym rachunku nie są uwzględnione, bo trudno je oszacować – ale niewątpliwie istnieją.

W sumie z punktu widzenia amerykańskiego prowadzenie wojny z Rosją za pośrednictwem jakiegoś innego państwa, które w

dodatku ponosi straty w ludziach, sprzęcie i w postaci dewastacji terytorium państwowego, jakie stały się udziałem Ukrainy, jest wyjątkowo korzystne, zwłaszcza w porównaniu z kosztami ewentualnego zaangażowania bezpośredniego. Pomijam przy tym kwestię skuteczności tamtych operacji, które ani w Iraku nie przyniosły zapowiadanych rezultatów, ani zwłaszcza – w Afganistanie, gdzie amerykańskie zaangażowanie zakończyło się fiaskiem, również w postaci pozostawienia całego użytego tam amerykańskiego uzbrojenia i wyposażenia znienawidzonym talibom, którzy teraz są panami sytuacji nie tylko w samym Afganistanie, ale także stanowią liczącą się siłę w regionie.

Inna sprawa, że jeśli chodzi o Irak, to cele deklarowane w operacji „Iracka Wolność” nie pokrywały się, jak się wydaje, z celami rzeczywistymi.

Wśród rzeczywistych celów tamtej operacji, podobnie jak tzw. jaśminowych rewolucji w państwach Afryki Północnej, chodziło raczej o wyeliminowanie potencjalnego zagrożenia z ich strony dla bezcennego Izraela, któremu każdorazowy prezydent USA, bez względu na to, jaka partia wysuwa go do władzy, na samym początku urzędowania składa coś w rodzaju hołdu lennego, w postaci deklaracji, że obrona Izraela pozostaje dla USA priorytetowym celem polityki, i to bez względu na to, co bezcenny Izrael będzie robił.

Znakomitą ilustracją tej sytuacji było przemówienie izraelskiego premiera Binjamina Netanjahu w Kongresie USA zaraz po rozciągnięciu przez Izrael swojej suwerenności nad obszarem Jerozolimy. Chociaż było to sprzeczne z amerykańską polityką, która wtedy popierała międzynarodowy status Jerozolimy, premier Netanjahu z naciskiem podkreśli w swoim przemówieniu, że „Jerozolima nie będzie już podzielona nigdy. Nigdy!”. Kiedy po raz drugi z naciskiem powtórzył słowo „nigdy” – część kongresmanów wstała i zaczęła izraelskiego premiera owacyjnie okłaskiwać.

Inni początkowo siedzieli na swoich miejscach, ale – widząc tę

owację – też zaczęli z ociąganiem wstawać, aż wreszcie owacja objęła całą Izbę. Niechby który ośmielił się nie wstać! W tej sytuacji trudno tak całkiem zlekceważyć opinię Patryka Buchanana, który pół żartem, ale zarazem pół serio, określił Waszyngton jako „terytorium okupowane przez Izrael”.

Reset resetu

Wracając na Ukrainę, to jej przykład pokazuje, iż zresetowanie swojego poprzedniego resetu w stosunkach amerykańsko-rosyjskich przez prezydenta Obamę w 2013 roku, kiedy to USA wyłożyły 5 mld dolarów na zorganizowanie na Ukrainie drugiego „majdanu”, którego nieukrywanym już celem było wyłuskanie tego państwa z rosyjskiej strefy wpływów, jaka została ustanowiona na szczycie NATO w Lizbonie 20 listopada 2010 roku, razem z ustanowieniem strategicznego partnerstwa NATO-Rosja, które było najważniejszym punktem politycznego „porządku lizbońskiego”, jaki po 25 latach od rozpoczęcia prac nad jego ustanowieniem miał zastąpić nieaktualny już porządek jałtański, było tylko początkiem nowej amerykańskiej polityki prowadzenia wojen per procura.

Ta polityka, bardzo podobna do postępowania Wielkiej Brytanii w okresie świetności Imperium Brytyjskiego, polegała na zachęcaniu państw słabszych i głupszych, by zaufały rozmaitym enigmatycznym gwarancjom i przyjmowały na siebie pierwsze uderzenia nieprzyjaciół Wielkiej Brytanii, która potem miała tym większe możliwości nie tylko frymarczenia ich interesami, a nawet nimi samymi – jak to miało miejsce w przypadku Polski sprzedanej Stalinowi w 1945 roku w Jałcie. Nic tedy dziwnego, że Wielka Brytania, która po kryzysie sueskim w 1956 roku zaprzęgała się na dobre do amerykańskiego rydwanu wojennego, obecnie znowu kusi Polskę swoimi obietnicami.

Kiedy tylko Izba Reprezentantów Kongresu USA przyznała Ukrainie wspomniane 61 mld dolarów, zaraz brytyjski premier nie tylko zadeklarował pomoc dla Ukrainy w wysokości 500 mln

funtów, ale w dodatku wygłosił deklarację, która u każdego normalnego Polaka powinna wzbudzić podejrzenia – że mianowicie jesteśmy sojusznikami „na zawsze”. A po co Wielkiej Brytanii potrzebni są tacy sojusznicy? A po to, by w razie potrzeby można ich było komuś korzystnie sprzedać. W tym celu przyśle nam nie tylko myśliwce „Tajfun”, które będą „strzegły polskiego nieba”, ale i 16 tysięcy żołnierzy. Żołnierze ci – podobnie jak członkowie kontyngentu amerykańskiego w Polsce – nie będą słuchali rozkazów rządu polskiego, tylko własnego rządu, który – co wydaje się oczywiste – bardziej będzie miał na oku własne interesy państwowe, a nie interesy państwowe polskie.

No dobrze – ale skąd taka nagła czułość Wielkiej Brytanii wobec naszego nieszczęśliwego kraju, skąd taka troska, by z jasnego nieba nie spadła nam na głowę żadna cegła? Myślę, że przyczyna tkwi w tym, iż po niemal 800 dniach wojny na Ukrainie tamtejsze mięsko armatnie zaczyna powoli się wyczerpywać. Przyznanie 61 mld dolarów pomocy dla Ukrainy przez Izbę Reprezentantów Kongresu USA oznacza, że wojna może tam potrwać jeszcze ok. 1050 dni, oczywiście jeśli dzienne wydatki na jej prowadzenie utrzymałyby się na dotychczasowym poziomie.

Jednak jest to możliwość czysto teoretyczna, bo 23 mld dolarów z tej puli mają zostać przeznaczone na uzupełnienie ubytków w amerykańskim arsenale po sprzęcie przekazanym Ukrainie, 11,3 mld na utrzymanie amerykańskich sił „w regionie”, a więc w Europie Środkowej, a na zakup sprzętu, tzn. broni i amunicji dla Ukrainy – niecałe 14 mld dolarów. Oznacza to, że za te pieniądze można będzie kontynuować wojnę na Ukrainie przez ok. 250 dni, czyli dokładnie tyle, ile upłynie od dnia dzisiejszego do momentu objęcia urzędu przez prezydenta USA wybranego w listopadzie.

A co potem? A potem się zobaczy – bo w tej chwili, według ekspertów, Ukraina leci już „na oparach”. Ale – jak wspomniałem – podstawowym problemem jest widoczny brak

tamtejszego mięsa armatniego. Sprzeczne interesy tamtejszych oligarchów – a Ukraina jest oligarchią oligarchów – powodują, że tamtejsze władze sprawiają wrażenie skrępowanych w tej kwestii jakąś tajemniczą siłą wyższą i podejmują działania o charakterze pozornym – bo trudno inaczej potraktować buńczuczne deklaracje, że ukraińskie konsulatory np. w Polsce nie będą obsługiwały młodych Ukraińców.

Cóż, bez pomocy konsulatów ci młodzi Ukraińcy pewnie jakoś sobie poradzą, a wreszcie – czy aby na pewno konsulatory nie będą ich obsługiwały? „Jak się da, to się zrobi” – mawiało się w Polsce za pierwszej komuny, a myślę, że na Ukrainie ta sentencja nadal jest podstawową mądrością życiową.

W tej sytuacji uważam, że zarówno oferty brytyjskiej pomocy, jakimi obsypał nas ostatnio brytyjski premier, i rojenia pana prezydenta Andrzeja Dudy o rozmieszczeniu broni jądrowej na terenie Polski należy traktować jako potencjalne próby wepchnięcia naszego nieszczęśliwego kraju jako następnego frajera, który w imieniu Naszych Odwiecznych Sojuszników został wytypowany do prowadzenia wojny „per procura”. „Timeo Danaos et dona ferentes” – co się wykłada, że boję się Greków, nawet gdy przychodzą z darami – jak miał w „Eneidzie” Wergiliusza przestrzegać swoich rodaków Laokoon, kapłan Apollina w Troi, kiedy ci wśród okrzyków radości wciągali do miasta konia trojańskiego.

Autorstwo: Stanisław Michalkiewicz

Źródło: NCzas.info